

Uzurpatorzy wolności

Dając do „Wiadomości Literackich” na jesieni ub. r. artykuł atakujący ideowy radykalizm marxowski, wiedziałem dobrze i od razu w artykule napisałem co mnie za to czeka. Jakoż nie myliłem się. Wystąpienie p. Wandy Wasilewskiej, generalny atak „Lewara” (...) i inne posunięcia [użytkowników] pióra przyniosły właśnie te intrygi i obelgi, które przewidziałem i przepowiedziałem. Nikt nie zdobył się na słowność w zniewagach, (...) wymysłach: sięgnięto znanego dobrze repertuaru określeń (...): Łobodowski długi czas [grał] radykała, aby prowadzić [samowolę], a gdy nasi demaskatorzy zaczęli deptać mu po piętach, zrobiło się ciasno i zdecydował się wystąpić w arnesecinnej roli faszystowskiego pana.

Pewne metody są stosowane przez (...) skrajnie lewicowych zawsze podobnie. Pierwszy niezawodny cios - cios prowokacji organizacyjnej (...) Dla karnego komunisty w ogóle nie istnieje możliwość ideowej opozycji. Jeśli ktoś staje w szeregach tej opozycji, powiedzmy trockistowskiej czy prawicowej, ten jest albo [panem] za pieniądze przechodzącym [do ruchu] faszystowskiego, albo poprostu szpieg kapitalistycznej Europy, przygotowującym grunt pod zbrojną interwencję przeciw Z.S.R.R. Przecież całość narodowo zorientowanej części (...) komunistów zwalono na karb działalności kilku agentów. Czy nie przypomina to najbardziej tępych spośród naszych (...) endeków uważających, że komunista to szpieg (...) czerwonej Moskwy? (...) To podobieństwo jeszcze nie raz będzie się rzucało w oczy. Nic bowiem tak ludzi nie dzieli jak różne korzenie kulturalne, nie tak nie łączy jak kołtuństwo (...)

PROLOG DRAMATU

Przyznanie się do klęski osobistej i mówienie o tem jest aktem małodusznym i poniżającym, jeśli nie towarzyszy mu dokładna świadomość przebytej drogi i popełnionych błędów, jeśli gorycz zawodu nie stanowi impulsu do dalszej walki o swoją prawdę. Pokolenie moje, a przynajmniej ta jego część, której obca jest rezygnacja, bierność i chroniczne załamywanie rąk, coraz częściej przekonywa się w osobach swoich przedstawicieli, że ubite trakty, reklamowane jako jedyna droga wiedząca do celu, prowadzą w zaułki, zabite na głucho deskami i ogrodzone tysiącami szlabanów. Ale o tem rzadko się mówi, a jeśli - to prywatnie i nieobowiązująco. Dziś bowiem nie wypada mieć żadnych wątpliwości i grzechem jest czynić zastrzeżenia. Starzy i doświadczeni wyjadacze, sutenerzy na utrzymaniu rewolucji, monopoliści na głód, nędzę i trupy, potrafią zawsze wytłumaczyć młodszemu koledze, że jego wątpliwości są wynikiem braku ideowego wyklarowania, a zastrzeżenia, choćby podyktowane wstrętem do etycznych machlojek, to po prostu inteligenckie błędzenie po manowcach.

Wielu z nas młodych (nie śmiem napisać: większość) zradykalizowała się nie z przyczyn

gospodarczych. Osobista nędza, brak posady, słowem zdeklasowanie, jako źródło radykalizacji młodego inteligenta, często wogóle nie istnieje. Jakże wytłumaczyć, że zdolny maturzysta, któremu niezła posada sama wchodzi w ręce, przed którym widnieje obiecująca kariera, rezygnuje z posady, uniwersytetu, kariery, zaczyna się ciskać i awanturować, aż wreszcie jego nazwisko zostaje wciągnięte do kartotek urzędu śledczego, a jego działalność zyskuje urocze określenie: antypaństwowa. Uświadomienie klasowe - prawie marxsta. Ale pochodzenie młodzieńca nie jest proletariackie, wręcz przeciwnie, pochodzi on z klasy „wyzyskiwaczy”. Przejście z obozu mieszczańskiego do proletariackiego, podyktowane dialektyką epoki - nie poddaje się marxsta. Pięknie, ale szkolny kolega młodzieńca, będący w znacznie gorszych warunkach, z całą świadomością pozostaje w obozie mieszczańskim i ani rusz nie chce skapitulować przed dialektyką. A więc musi być jakiś imperatyw, tkwiący poza kategoriami ekonomicznymi, który naszego młodzieńca popycha w objęcia „wrogów religii i narodu”. Widocznie mocno w nim siedzi poczucie sprawiedliwości, widocznie jego zasady etyczne nie pozwalają mu godzić się z otaczającą rzeczywistością i każą szukać drogi wyjścia. Że w dziewięćdziesięciu dziewięciu wypadkach na sto uwierzy w rewolucję społeczną i pójdzie tam gdzie się o tej rewolucji ciągle mówi, to już kwestia przesądzona. I oto mamy świeżo upieczoną komunistę, który zabiera się do lektury teoretyków socjalizmu wyłącznie po to aby znaleźć w niej rozumowe podstawy dla istniejących już i jedynie decydujących dyspozycji uczuciowo-moralnych; aby egzaltacja uczuciowa i roznamietnianie nie zamykają mu oczy na szere zjawisk, które pierwotnie lekceważone i pomijane, szcasiem zaczynają zbyt gwałtownie apelować do autokratyzmu, wyrastać do wielkości szkopułów o znaczeniu zasadniczym.

I tu zaczyna się pierwszy akt melodramatu.

„POSZOŁ WON, SZCZENOK!”

Byłem w Rosji przez najgorętsze lata. Rewolucję przeżywałem na ulicy. Już wtedy, jako sprzedawca papierosów i tytoniu, wchodziłem w konflikt z władzą (handel uliczny bywał od czasu do czasu czynnością zbrodniczą i nielegalną zależnie od osobistych poglądów komendanta milicji; trzeba się było wtedy wymykać obławom i strzec dobrze przed nahajką - jedynie małym kaukaskim pucybutom nic nie groziło ci byli nietykalni: towarzysze komisarze lubili „szczegolat” lśniącymi butami). Przyjaźniłem się z bezdomnymi dziećmi portowemi ku rozpacz moich rodziców. Widziałem jak Kozacy wieszali bolszewików, a bolszewicy rozstrzelali Kozaków. W miesiącach głodu kradłem. Nienawiści do rewolucji nie czułem, choć jako syn oficera i obszarnika, mógłbym mieć pretensje podobne do nieukojonych żalów ziemian, wyeksmitowanych razem z pudlem Gagą z zacisznych dworów kresowych. O ironjo! - gdy kiedyś w mroźna kaukaską noc marzliśmy w kilku pod drzwiami teatru i moi towarzysze, dzieci autentycznych portowych proletariuszy, zaczęli psioczyć na władzę:

... za cara Nikołaszki
jeli my wdowol kaszki,
a nie stało cara Nikołaszki...

- ja jeden, może z wrodzonej przekory, usiłowałem oponować.

Zresztą miało się wtedy do całej ówczesnej rzeczywistości rosyjskiej stosunek lekko szyderczy, a nawet pobłażliwy. Wiedziało się przecież i wierzyło; to tylko tutaj pijane chamstwo dorwało się do władzy i szaleje, a tam, gdzie we mgle giną stalowe szyny kolei, za granicami, za lasami, wyrasta polska ojczyzna, kraj szklanych domów... Zatrzyma się repatriancki eszelon, zabierze polskich bieżących i ... pominaj jak zwali! Tak łatwiej było znieść głód, chłód, tyfus i wszy. I przez to wszystko miało się dystans do rewolucji. Poprzez jej krwawe opary lepiej było widać człowieka przede wszystkim, a nie tylko burżuja i proletariusza. Obok rzeczy straszliwych, obok zupełnego upodlenia i zezwierzecenia widziało się czyny tak anielskie i wypływające z tak szlachetnych pobudek, że śmieszne były wszelkie wysiłki wytłumaczenia ich miarką socjologiczną.

W dziesięć czy jedenaście lat później byłem w alejach Ujazdowskich świadkiem szorstkiego potraktowania nieletniego żebraka przez eleganckiego porucznika lotnictwa. Dzieciak natarczywi skamlał o datek i otrzymał w odpowiedzi brutalne: „Idź precz, szczeniaku!”. Prowadziłem wtedy dyskusję z młodym komunistą: „Oto masz przykład - zawołał na widok odpędzonego dziecka - to jest ustrój kapitalistyczny”. Nie odpowiedziałem. Miałem wtedy przed oczami inną a tak podobną scenę. Widziałem siebie samego w r. 1922 na bulwarach Rostowa, żebrzącego u spacerujących budionowców we frenczach i odpędzonego przez jakiegoś porucznika w ten sam sposób: „Poszoł won, szczenok!”

Opowiadam te sentymentalne historyje, choć pozornie nic nie mają do rzeczy, aby podkreślić rolę, jaką odgrywa w życiu sam człowiek, jednostka, indywiduum, złe lub dobre, ale przecież w wielu swoich poczynaniach niezależne od tych czy innych procesów społecznych i gospodarczych.

Gdy na wiosnę 1920 r., w czasie masakry czerwonych powstańców przez karny batalion markowców, ojciec mój uratował od stryczka bolszewickiego komisarza, mało go obchodziła burżuazja i proletariat całego świata i nie orientował się co by na to powiedziała święta Karła-Marła, a uczynił to jedynie z litości: gdy ten sam komisarz w rok później, skoro karta się odwróciła, uratował mego ojca a swego niedawnego dobroczyńcę od wojażu na wyspy Sołowieckie, kierował się prawdopodobnie zwykłą, ludzką wdzięcznością, nie interesem klasowym. A czy litość, wdzięczność i inne ludzkie uczucia zawsze takie same w epoce kamiennej i dziś za panowania żelbetonu można zamykać bez reszty w kategoriach społecznych?

Pamiętacie u Szołochowa piękny opis powrotu martwego Pietro pod dach ojczystej zagrody, lament żony, niemą rozpacz starego ojca, żalną zadumę samego autora? Wśród krytyków sowieckich, ostro atakujących Szołochowa, najbardziej umiarkowany nie posiadał się z oburzenia, że uświadomiony pisarz mógł nad trupem kontr-rewolucyjnego kozaka dać folgę „osłabiającym rozkładowym uczuciom”, a nie samej radości z tej racji, że zabito wroga klasowego.

A czytaliście „Dwie siostry” Wieriesajewa? Jak to bohaterka opisuje spotkanie ze swoim byłym

szlafkamratem, widzi przy nim inną kobietę i zaznacza: „Żyje obecnie z jakąś literatką z Moskwy. Oczywiście, komunistka. On nigdy nie upadłby tak nisko, żeby zakochać się w bezpartyjnej.” Ot, i macie miłość, regulowaną przez świadomość klasową, jak traktor przez stachanowca.

I tu właśnie tkwi sedno rzeczy. Ortodoksyjni partyjniacy chcą życie ludzkie bez reszty wpakować w ciasne ramy walki klasowej i dlatego przegrywają kampanię o rząd dusz.

„PRZEDYSKUTUJEMY I WYKONAMY”

Porcelanowe upodobania towarzysza Diemjana, o których przed chwilą wspomniałem, to nie tylko prywatna sprawa kiepskiego bajkopisarza, ale poniekąd symbol przemian dokonywających się w Rosji. Trudno, trzeba to raz powiedzieć - jak trójkolorowy sztandar powiewa nad Francją niekoniecznie taka jaką sobie wymarzyli Saint-Just czy Desmoulin, tak i dzisiejszy czerwony sztandar niezupełnie przypomina starych rosyjskich rewolucjonistów. Dziś każdy rentjer poniewiera wspaniałe słowa „Marsylianki”, melodia „Międzynarodówki” inaczej brzmiała w moich uszach, gdy ją słyszałem śpiewaną przez bladych chłopców, prowadzonych pod konacką eskortą na śmierć, a inaczej brzmi dziś, zagrana na powitanie pana Litwinowa. „Demokracja” socjalistyczna zrazu bardzo przypomina rządy silnie zorganizowanej i na prawach hierarchii opartej grupy. Centralizacja o jakiej nie myślał żaden samodzierżca Wszechrosji! Wychodzi dekret i przewala dogóry nogami ustalone, zdawałoby się na mur pojęcia. Ogłoszono kolektywizację i gorliwy ze skóry wylażą prześcigając się w tępieniu kułactwa i organizowaniu kolchozów. Nagle Stalin wydaje orędzie, w którym piętnuje zbytnie upajanie się sukcesami, zaleca ostrożność w postępowaniu, i oto wczorajszy bohater socjalizmu zostaje sprowadzony do rzędu szkodnika. Droga prowadząca między Panteonem a skałą Tarpejską jest tu wąska i napięta jak struna. Niezłych ekwilibrystów i linoskoczków wychowuje sobie kraj zwycięskiego socjalizmu.

Wspaniałe, istotnie, zdobycze sowieckie w dziedzinie uprzemysłowienia kraju niemało imponują ludziom myślącym kategoriami wyłącznie cywilizacyjno-technicznymi. Nie wszystkim jednak to wystarcza. Piotr Wielki stworzył flotę i armię, wiercił szyby, budował huty, sprowadzał speców zagranicznych, zakładał winnice nad Donem, na kościach robotniczych wznosił miasta w tempie niemniejszym niż dzisiejsze Magnitostroje, ale niewolniczej psychiki narodu nie zmienił, swobody w myśleniu nie dał, zdrętwiałych rąk nie rozwiązał.

Jeśli więc w dzisiejszej Rosji istnieją jeszcze niepowodzenia i niedociągnięcia natury technicznej i ekonomicznej, nieważna to sprawa. W kraju gdzie dochód społeczny został wydarty z rąk prywatnych, wszelkie trudności gospodarcze są tylko kwestią czasu, lepszej organizacji, szybszego tempa cywilizacyjnego. Ale cóż mi z tego, że będę mieszkał w mieście skanalizowanym i zelektryfikowanym, że będę ciepło spał i słodko jadł, jeśli nie przyznają mi prawa do swobodnego myślenia i własnego sądu. „Byt' komunistom - pisze Majakowski - eto znaczit dumat', dierzat', smiet'.” Majakowski istotnie należał do tych co myśleli i mieli odwagę, toteż rychło zszedł z tego świata.

Jak tu gadać z ludźmi, dla których słowo „dyscyplina partyjna” jest synonimem ślepego

posłuszeństwa, w każdym odchyleniu od przyjętego wzorca widzą złośliwą herezję, w każdej poprawce do oficjalnego projektu wężą zbrodniczą rękę. Człowiek prawdziwie wolny nie jest podejrzliwy. Wspaniałością własnej duszy mierzy poczynania innych. Kto się otacza na każdym kroku szpiegami i zbrojną eskortą niewolników, sam ma serce niewolnika i szpiega.

Jakże żałosna jest ta licytacja w prawowierności marxowskiej i partyjnej. Łaska pańska na pstrym koniu jeździ. Wczorajszy demaskator dziś sam zasiada na ławie oskarżonych, a jutro jest świadkiem jak jego prokurator skolei zamienia się w delikwenta. Toteż nie ma ludzi bardziej ostrożnych w myśleniu i wypowiedaniu się od marxistów.

Kiedy przed kilku laty miało w pewnym mieście powstać radykalne pismo społeczno-literackie zostałem zaproszony do komitetu redakcyjnego. Odbywał się właśnie zjazd pisarzy w Charkowie. Gadaliśmy parę godzin aż wreszcie główna ryba tego zebrania milczący dotychczas matador, na którego każdy młodzik spoglądał jak uczeń na cadyka, przeciął dyskusję: „My tu narazie nie mamy nic do gadania. Przyjdą uchwały zjazdu charkowskiego, wtedy je przedyskutujemy i wykonamy”. To tylko drobny przykład, ale jakże charakterystyczny. Stwarza się cały aparat organizacyjny, wszelkie pozory demokracji, dyskusja, wnioski, - a wynik? Rzecz prosta, „Wykonamy” to co uznał za właściwe postanowić nieomylny niemal mistyczny aparat partyjny.

A jeśli ktoś stanie kantem i nie wykona, jeśli ktoś „siedząc przy zielonym stoliku, zacznie się mądrzyć” i krytykować? Wtedy co? Zapytajcie, kochani, rozstrzeliwanych bez litości Ukraińców, przeprowadźcie wywiad z wieloletnim więźniem a przedwojennym jeszcze starym rewolucjonistą, towarzyszem Rakowskim, policzcie tych socjalistów - mienszewików i komunistów opozycyjnych, którzy zapełniają cele więzienne wolnej ojczyzny robotniczo-chłopskiej. Naturalnie, będziecie mogli to wykonać tylko w tym wypadku jeśli nie złożycie już deklaracji jednolito-frontowej. Albowiem, jako orzekł towarzysz Włoszczowski, za którym stoi autorytet Komunistycznej Partii Polski „rola trockistów i mienszewików w Z.S.R.R. jest rolą świadomych kontrrewolucjonistów, szkodników związanych z białogwardzistami i z wywiadem państw imperialistycznych, a zatem „żądanie jednolitego frontu w Z.S.R.R. jest podstępą próbą sabotażu jednolitego frontu proletariackiego w krajach kapitalistycznych i blokowaniem się z antysowieckim frontem międzynarodowej reakcji burżuazyjnej”.

I oto teraz maleńka uwaga pod adresem tych wszystkich pisarzy lewicowych w Polsce, którzy podpisali deklarację jednolito-frontową, a których przyzwyczailiśmy się szanować i wierzyć w ich uczciwość pod adresem Struga, Broniewskiego, Millera, Rogowicza, Czuchnowskiego, Dobrowolskiego, Dembińskiego. Czy wobec takiego postawienia sprawy przez oficjalnego reprezentanta K.P.P. nie wartoby zdecydować się na jedno z dwojga: albo uznać raz na zawsze, że Trockij, Rakowskij, Zimowjew, rozstrzelany Kuszelnickij, samobójcy Skrypnyk i Chwyłowij oraz dziesiątki i setki opozycjonistów, to „płatni agenci państw imperialistycznych”, „świadomi kontrrewolucjoniści”, albo zrewidować swój stosunek do jednolitego frontu.

Chybaże panowie wolą przemilczeć ten bolesny dla każdego uczciwego socjalisty fakt, że jedyny w Europie rząd robotniczo-chłopski, do którego istnienia proletariat całego świata

przywiązuje tyle znaczenia i nadziei, zbrojnemi rękami dławi każdą próbę ideowej opozycji i krytyki.

W ATMOSFERZE OGÓLNEJ TOLERANCJI

Montowanie wspólnego frontu intelektualistów i pisarzy odbywające się w imię walki z faszyzmem, miało przynieść odprężenie, pakt o wzajemnej nieagresji, przerwę w ciągłym odgrażaniu się socjal-zdrajcom. Czy koniecznie trzeba udowodniać, że jest to tylko okres przejściowy, obliczony wyłącznie na to, żeby obłaskawić kogo się da i zadomowić się na tyłach znienawidzonej II Międzynarodówki? Jak rozumieją wspólny front komuniści? Cytowany już przeze mnie Włoszczowski pisze dosłownie: „Międzynarodówka komunistyczna stawia zagadnienie jedności politycznej proletariatu jako zagadnienie stwarzania jedynej partii proletariatu... Komunistom chodzi... o partię nowego typu, wzorowanej na bolszewickiej W.K.P. (b) zbudowanej na zasadzie demokratycznego centralizmu, jedności ideologicznej i karność organizacyjnej”.

Tyle jeśli chodzi o teren polityczny. A jak w dziedzinie myśli, piśmiennictwa? Wiemy już, że niedawno odbyty we Lwowie zjazd pisarzy nie pozwolił na wypowiedzenie się grupie ukraińskiej w sprawie prześladowań na Ukrainie sowieckiej. Godzi się też wyciągnąć pewne nieznanne szerzej fakty z zeszłorocznego kongresu paryskiego. Trzeba sobie przypomnieć entuzjastyczne korespondencje z Paryża, drukowane w prasie lewicowej, że się wszystko odbywało w atmosferze wzajemnej tolerancji, poszanowania cudzych przekonań i t.d. Pomijam tę drobną okoliczność, że każdy kto jakotako zna literaturę rosyjską, bez większego trudu wykrył w przemówieniach delegatów sowieckich szereg oszczerstw i świadomych kłamstw (najjaskrawsze chyba to, że znakomity poeta Lermontow został zabity przez specjalnie nasłanego carskiego agenta). Chodzi o coś ważniejszego, o „wzajemną tolerancję”. Nie wszyscy zapewne wiedzą, że na kongresie grupa surrealistów francuskich wspomagana przez wybitnego pisarza czeskiego Vitezslawa Nezvala, wystąpiła z protestem przeciw narzucaniu pisarzom socjalizmu realistycznego jako jedynej właściwej drogi twórczej. Zdawałoby się - sprawa prosta: realizm socjalistyczny wam nie dogadza, chcecie stosować inną metodę bardziej odpowiadającą waszej strukturze artystycznej - w porządku, w porządku, piszcie chłopcy, starajcie się na chwałę socjalizmu. Ale to jest tylko piękne złudzenie zgniłych liberałów, naiwnych, „miagkotitych” inteligentów. Jeśli ktoś nie chce być „inżynierem dusz” według recepty kremlońskiej, jest oczywiście ukrytym, białogwardyjskim agentem kontrrewolucjonistą szkodnikiem. Wprawdzie na samym kongresie unikano starannie takich brzydkich słów, ale po powrocie do rodzinnych pieleszy szara eminencja sowieckiej delegacji, towarzysz Michaił Klocow, dał folgę owemu oburzeniu na buntowniczych surrealistów. Lista niebłagonadiożnych powiększyła się o kilka nowych nazwisk.

Tak w praktyce wygląda bohaterska harmonja i wzajemna tolerancja twórców, oddychających świeżym ozonem niedawnej burzy rewolucyjnej.

„CIOTKA EMMA CIĄGLE CHORUJE”

Przeciętny endek oprócz urazu antysemickiego ma jeszcze kompleks bolszewicki, t. zn. Wszędzie widzi agentów Kominternu. Wszystko co się stanie złego, zrobił ktoś z nieśmiertelnej trójki: Żyd, mason albo bolszewik, co zresztą na jedno wychodzi. Podobnie postępują komuniści. Jeśli nie uda się strajk, zatryumfuje faszyzm, sparaliżowana zostanie akcja robotnicza, zgóry wiadomo, że działała tam kontrrewolucyjna ręka socjal-faszysty. I odwrotnie: gdzieś tam bezrobotni wytlukli szyby w urzędzie pośrednictwa, zajechała baba sekwestratora pazurem po gębie, już ci taki chodzący sejsmograf rewolucji zaczyna radośnie drgać i nachylać się tajemniczo do ucha: to nasi...

Bankructwo komunizmu w Niemczech, który w decydującej chwili zdobył się zaledwie na odsłonięcie własnej kapitulacji fałszywie zastosowaną leninowską teorię o tymczasowym wycofaniu się, bankructwo tem jaskrawsze, że odbywające się na tle bohaterstwa jednostek, przypisano zbrodnie i odpowiedzialność zwalono przedewszystkiem na niemiecką socjaldemokrację. Ale gdy ta sama socjaldemokracja ginęła pod gruzami robotniczego Wiednia i Linzu, uczyniono wszystko, nie cofnięto się przed niczem aby zdyskontować jej heroizm i powiększyć konto własnych zasług, oszczerstwem nagradzając męstwo Wallischa i Muniekreitera.

Gdziekolwiek jątrzy się otwarta rana - pełzną jak czerwie, gdziekolwiek poleje się krew - zważą jej każdą kroplę, gdzie padnie trup - zlatują się gromadą kruków. Nie mówię tu o wierzących i naiwnych, ale o tych, którzy świadomie dyskontują krew i łzy dla dokonywania brudnych matactw politycznych, którzy ideę socjalizmu rzucili na szalę szacherek dyplomatycznych, którzy jedną ręką podpisują sankcje antywłoskie, drugą biorą pieniądze za ropę do czołgów, miażdżących nieszczęsną Abisynię.

Półdzikim plemionom, liczących po parę tysięcy głów, dają oświatę, własną gramatykę, możliwość kulturalnego rozwoju i chełpią się z tego pod światem, słusznie wskazując na doniosłość i cywilizacyjną wartość tej pracy. Spójrzmy jednak na odwrotną stronę medalu. Drobnym ludkom można pozwolić na podtrzymywanie odrębności plemiennej, watro nawet pomóc, bo to i egotyzm nie zamarzą o niepodległości, nie zechcą budować niepodległości, nie zechce budować państwa na terenie kilku powiatów. Inna sprawa z Gruzją, co innego Ukraina. Tu już ludność idzie w miliony, tutaj tęsknota do prawdziwej wolności i niepodległości może wstrząsnąć podstawami socjalistycznej ojczyzny. Więc ciągną tabory ukraińskie przez stepy Syberii, które beztroski Polak zdążył już nazwać „krajem bez przekleństw" i na bezszelestnych oponach sunie od wsi do wsi „czornyj woron" G.P.U.

A tymczasem polski robotnik szarpie się w kleszczach wyzysku i nędzy, głoduje, walczy, wychodzi na ulice, pada pod ciosami swego brata w policyjnym mundurze, albo chwytą się, jak tonący brzytwy, rewolucyjnej nadziei, schodzi w mrok konspiracji, za nędzne grosze, odkładane z głodowego posiłku, wpłaca składki na „Mopr", wpada wyśledzony podstępnie lub wydany przez tchórza, wypluwa zęby w bohaterstwie odmownych odpowiedzi, aby potem długie lata konać w czterech więziennych ścianach.

Lubicie pisać o zemście, która czeka burżuazję, o celnych strzałach, które mają paść z pokładu polskiej „Aurory", o rachunku przed sądem historii. Szczera to prawda. Ale kiedyż wy sami zdacie

sprawę z losu setek i tysięcy walczących, marnujących się bez celu, bo kierowanych przez sztaby, których życie i postępowanie nie ma nic wspólnego z moralnością proletariacką i prostoprostu ludzką.

Wojskowy regulamin rosyjski kazał uważać straty do pięćdziesięciu procent za normalne. Toteż nieszczęsny żołnierz szedł do ataku bez żadnego przygotowania artyleryjskiego i zdobywając zasieki z drutów kolczastych, musiał je zarzucać szynelami w dziesiątkującym ogniu karabinów maszynowych. Dzisiejsi polscy rewolucjoniści wzorują się widocznie na tym regulaminie. Nie tu miejsce i nie czas potemu, aby te sprawy spokojnie omawiać, ale kto się z nimi zetknął wie co o tem sądzić. Nietyle chodzi mi o straszliwe niedołęstwo roboty partyjnej, która tem tylko różni się od dziecinnej zabawy w chowanego, że jej koszty płaci się wolnością i zmarnowaniem życia, bo dość rzadko jest to wynikiem złej woli, chodzi mi o nieuczciwy stosunek do własnych towarzyszy, których się traktuje jak mięso armatnie, składane na ołtarzu rewolucji w myśl zbożnej zasady: im gorzej tem lepiej.

Znając wielu starych „beków” pepesowskich, wiem dobrze jaką pogardą i lekceważeniem otaczają dzisiejszych matadorów ludu, uzurpujących sobie prawo reprezentowania sztandaru wolności. Ta pogarda weteranów rewolucji, mających możność porównywania, pogarda ludzi pamiętających tamte czasy i tamtą robotę, prowadzoną w ileż trudniejszych warunkach, niechże mi będzie świadectwem.

Tam, gdzie kostnieje ideologia, nie może być dynamizmu rewolucyjnego. Tam, gdzie żądza wolności wyczerpuje się w nagrywaniu, wciąż tej samej płyty frazeologicznej, żywa idea zmienia się w talmudyczne tabu. Bezwład myśli paraliżuje ciało. Sparalizowane ciało nie ma siły do myślenia.

I oto ciotka Emma choruje, choruje. Biedna, schorowana ciotka.

ŻYDOWSCY POLICJANCI ŻYDOWSKICH KOMUNISTÓW...

Skolei nie podobna pominąć milczeniem kwestii, która dla wielu wogóle nie istnieje, ale którą uważnemu i bezstronnemu obserwatorowi narzuca się z nieodpartą siłą. Niechętnie ją poruszam, bo wiem że zostanę ukamienowany tytułem oenerowskiego antysemitę i pogromowca, trzeba to jednak raz zrzucić z wątroby. Są pewne koła, dla których zauważenie istnienia Żydów jako narodu, całości, bez jednoczesnego podkreślenia podziału na burżuazję i proletariat, daje wystarczający powód do oskarżeń o antysemitę.

Czem się tłumaczy fakt, że Żydzi dostarczają najwięcej kadr rewolucyjnych przyczep procent ich wzrasta zależnie od ważności zajmowanych posterunków partyjnych? Specjalną wrażliwością na nędzę, umiłowanie wolności, skłonnością do spiskowania, buntowniczym uosobieniem? U jednostek - u ogółu - sądzę, że nie. Natomiast jestem przekonany, że komunizm jest dla większości zradikalizowanych Żydów formą, w której wyżywa się, często zupełnie podświadomie, ich ukryty nacjonalizm. Powiedzmy sobie szczerze - sytuacja młodego Żyda, czy to będzie inteligent z zamożnej rodziny, czy dziecka rzemieślnicze czy robotnicze, któremu rodzina potrafi dać wykształcenie - jest nie do pozazdroszczenia. Co dla przeciętnego maturzysty Polaka staje się

celem życiowym, - zdobycie tytułu magistra i wyładowanie na posadzie w administracji czy szkolnictwie, - dla Żydów jest w przygniatającej ilości wypadków marzeniem ściętej głowy. Numerus clausus nominalnie nie istnieje, ale życie jest silniejsze od prawa. Świadomie więc czy podświadomie, bezrobotny, nie zarabiający Żyd, a także taki, który zmuszony został do wolnego zawodu, łączy swoje gospodarcze czy też społeczne upośledzenie z kwestią rasową religijną. Ciągłe upokorzenia, które są udziałem Żydów od najwcześniejszego dzieciństwa, pogłębiają w nich kompleks niższości - tak powstaje negatywny stosunek do społeczeństwa i narodu z którym współżyją. Niema w tem nic ani dziwnego, ani oburzającego - przeciwnie, byłoby nienaturalne, gdyby naród, który ma taką przeszłość i w takich warunkach bytuje, nie lgnął do ruchu niwelującego granice, wynikłe z różnicy pochodzenia, a tem samem dającego mu maximum szans rozwojowych.

Sam fakt istnienia społeczeństwa, nie związanego z ziemią, nie posiadającego warstwy pracującej na roli, wydaje mi się wysoce niemoralny. Nie widzę w tem żadnego zarzutu - a poprostu stwierdzenie przyczyn tragedii żydowskiej. Znam Żyda, który nie ukrywał swojej radości na wiadomość o awanturach arabskich w Palestynie.

„Bo my, proszę pana, musimy własną krwią okupić utracone prawo do swojej ziemi, do ojczyzny, tak jak je w ciągu wieków okupiły inne narody”.

Zakwestionowanie wartości radykalizmu przeciętnego Żyda (zastrzegam się przed posądzeniem o generalizowanie) wymaga jednak mocniejszej argumentacji. Im więcej przeszkód piętrzy się na drodze ideologicznego rozwoju przed radykalizującą się jednostką, tem wartościowszy będzie jej radykalizm. Uczucie narodowe, religia, środowisko, prawie zawsze rodzina, matka, dziewczyna, to są te ściany, przez które musi przebijać się polski inteligent, a w mniejszym stopniu i proletariusz, idący ku komunizmowi. Walka, którą ze sobą stacza na każdym kroku, - a i to trzeba podkreślić, że mocniejsza jednostka przeżywa ją intensywniej, - jest gwarancją wartościowego i szczerego radykalizmu. Żyda natomiast, niemal wszystko predysponuje w tym kierunku. Znad ksiąg Starego Testamentu bliżej do materializmu niż z kościoła katolickiego; uczucie narodowe jest raczej bodźcem niż hamulcem, środowisko nie tylko nie przeszkadza ale pomaga w procesie rewolucjonizowania się.

W związku z tem stoimy obok faktu oponowania młodej „ulicy żydowskiej" przez marxizm. Marxizm to przeważnie płytki, występuje w najbardziej ordynarnej formie ortodoksyjnej, często jest histeryczny, wyładowujący się w dziecinnych wybrykach, które kosztują wiele niepotrzebnych ofiar a tolerowane są i pochwalane jako swego rodzaju przedszkole rewolucyjne. Wiem dobrze i wiedzą o tem zainteresowani, ile młodzieży żydowskiej siedzi po więzieniach dosłownie za nic. Wpada się bez większej winy, dla towarzystwa, w tłoku; rozegzaltowanemu umysłowi niezmiernie takie męczeństwo imponuje, towarzyszom celi będzie opowiadał o niepopelnionych czynach, na sali sądowej da się ponieść hysterii - a rezultat: wyrok najzupełniej niewspółmierny z odegraną rolą. Tak się odbywa fabrykowanie bohaterów i rewolucjonistów z urojenia.

Pozostaje do kompletu rozstrzygnięcie zagadnienia, jakby wygląda sytuacja w narodowym

państwie żydowskim, w wymarzonem Erec Izrael chaluców i brandstaetterów. Oddajmy głos samym Żydom. Słyszałem kiedyś taką mocno ironiczną piosenkę nieznanego mi autora, opisującą, jak to... „żydowskie policjanci żydowskich komunistów w żydowskiej defensywie...” będą leli po łbie i karmili bananami niemniej sprawnie niż to się dzieje, powiedzmy, w Albanji. Jeśli się nie mylę, piosenka ta wymierzona była w syjonistów; rymsztokiem jednak trafiła w żydowski radykalizm.

GRAFOMAŃSTWO PSEUDOREWOLUCYJNE

Zgłaszając zastrzeżenia wobec radykalizmu żydowskiego, nie mam zamiaru ryzykować twierdzenia że każdy Polak-komunista wnosi z reguły do ruchu same cechy dodatnie. Nie ulega wszakże wątpliwości, że grzechy „polskiej ulicy” są nieco innej natury, jej demagogia naogół mniej krzykliwa, ortodoksja bardziej wyrozumiała, rewolucyjny snobizm nie tak jaskrawy. Jedno niewątpliwie jest wspólne. Straszliwy zalew grafomanii. Co drugi młodzieniec piórem chce służyć rewolucji. Co trzeci wydaje tomy wierszy, od lat wróżących że już... już... jutro, pojutrze... Któż ich wyliczy, kto spamięta ich imiona? Optymista powie: napięcie nastrojów rewolucyjnych wyładowuje się w literaturze. Sceptyk pokiwa głową i doda: konjunktura. Istotnie, tytuł pisarza rewolucyjnego, to dziś pewna droga do chwały i rozgłosu. A także tarcza ochronna: nie rusz mnie. Bo jeśli krytyka zerznie takiego typka, rozlega się krzyk, że chce się go utracić ze względu na ideologię. Grafoman dobrze zdający sobie sprawę z tego że w normalnych warunkach nie wytrzyma konkurencji prawdziwych poetów i zostanie niezauważony, robi z siebie Majakowskiego, zaczyna uważać swoją twórczość za „wytwór mózgu, woli, mięśni i walki klasowej”, a na ostrą krytykę macha pogardliwie ręką: „jestem rewolucjonistą, więc starają się mnie zgniebić” ale to nic bo i tak „czerwone sztandary proletariatu, ciężkie od krwi i potu, łopocą nieugięte i groźnie, napawając obawą przerażonych burżujów”.

Jednocześnie widowisko godne zastanowienia. Zdolni poeci z chwilą, gdy zaczynają dostosowywać swoją twórczość do doktryny, obniżają gwałtownie poziom. Jeśli więc pod ciężarem ortodoksji i terroru doktrynerów usycha nawet poezja, skłonna zawsze do wywalczenia sobie autonomii, cóż dopiero musi dziać się z krytyką artystyczną. W nie wychodzącej już „Akcji Literackiej” wydrukowano, fatalny zresztą, przekład z Nadsona, a przy wierszu: „złem ziemia zalana cała zalana” - taki komentarz: „wówczas, gdy autor ów pisał, nie było jeszcze Rosji sowieckiej, ani sowieckich Chin”. Cóż za niepowetowana szkoda że Nadson nie żyje współcześnie - nie byłoby w jego wierszach pesymizmu, goryczach i „upadocznym nastrojenij”, ale rewolucyjna, proletariacka krzepa.

Pisałem już kiedyś o straszliwie upokarzającym systemie moralnej inwigilacji, stosowanej przez koła marxowskie. Każdy „rewolucjonista” ma tam takie uczucie, jakby znajdował się na bezustannym śledztwie. Każda jednostka jest zgóry uważana za predysponowaną do załamania się, zdrady, w najlepszym razie - herezji i trockizmu, lewactwa i t.d.

„Wzięłeś udział w wieczorze awangardy, który się odbył pod protektoratem faszysty Kadena. Czy to znaczy, że odchodzisz od nas?”

„Nie powinieneś tłumaczyć Jasienina. To przecież kułacki poeta!”

„Jakżeś mógł swój poemat dedykować Czechowiczowi? Może nie wiesz, że Czechowicz jest znanym sanatorem?”

I tak bez końca, aż do ogłupienia jednych, zupełnego odstręczenia drugich. Gdybyż w tym była przynajmniej jakaś konsekwencja. Bo nagle okazuje się, że w „Cyruliku” wolno drukować, a umieścisz przekład w „Pionie”, lament i pogróżki. Dałem do tego „Pionu” wiersz i „Dwutygodnik Ilustrowany” rzuca na mnie anatemę, co mu nie przeszkadza zaraz w następnym numerze drukować noweli Szemplińskiej, jak wiadomo, częstego podówczas gościa w pałacyku przy alei Róż. Bądź tu, braciszku, mądry.

Ten bałagan możnaby zresztą przeboleć, gdyby nie szedł on w parze z bałaganem moralnym. Wiemy jaki jest stosunek lewicy do cenzury i opinia o niej. Że stoi na straży klasowych interesów burżuazji. Że boi się prawdy, że wycina z filmów sowieckich to co według niej zagraża interesom klasy panującej. Także zgoda. I nie miałbym pretensji do lewicy, gdyby ograniczała się do ataków na polską cenzurę jedynie ze swojego stanowiska klasowego. Poprostu wykazać że jest burżuazyjna - i szlus. Ale w tem sęk, że to przeciętnemu czytelnikowi nie wystarcza, bo trzeba jeszcze zaapelować do jego uczuć ludzkich, do jego poczucia sprawiedliwości i prawdy. „Cnota prawdy się nie boi”. Takie stwierdzenie zobowiązuje. Czy to przypadkiem nie Broniewski pisał kiedyś w „Wiadomościach Literackich” o losach „Przedwiośnia” w Sowietach? Jak to cenzura zachowując pieczołowicie opisy znęcania się polskiej policji nad więźniami, jednocześnie wyrzuciła fragmenty omawiające zbrodnie popełnione w czasie rewolucji bolszewickiej. To było przed laty. A dziś jak ta rzecz w Z.S.R.R. wygląda? Czy cnota komunistycznych cenzorów nabrała odwagi wobec prawdy?

Ale co to jest prawda? Przed paroma laty Kazimiera Muszałówna napisała reportaż, w którym opisywała, jak to policjantom, rozpędzającym tłum bezrobotnych, spływały łzy po twarzy. Więc oburzenie w mieście i w „Przedmieściu”. Dyskusja. Aż ktoś oświadczył: „Nawet gdyby istotnie to była prawda, pisarz, stojący po lewej stronie barykady, nie ma prawa o tem pisać. Nie wolno osłabiać świętej nienawiści proletariatu do sług jego ciemnych”.

Z kwiatków rozkwitłych na tej niwie możnaby ułożyć niejeden bukiet. Możnaby do wieczora opowiadać rzeczy, które budzą naprzemian wesołość i czarną rozpacz.

Lamentowałem przed chwilą, uskarżając się na niski poziom poezji lewicowej. Może mi ktoś zarzucić, że tak ostra krytyka jest jednostronna, skoro istnieje np. twórczość Broniewskiego. Odpowiadam: Broniewski należy do do wspólnego frontu, ale jego poezja nie należy, z przyczyn, o których zbyt wiele trzybaby pisać. W tem stwierdzeniu wyręczyli mnie już dawniej sami marxiści, opiniując że Broniewski jest poetą, ale rewolucjonistą nie jest, w przeciwieństwie do Standego, który wprawdzie nie jest poetą, ale zato jest rewolucjonistą.

O Standego krzyżować szpady nie zamierzam. Jedno jest pewne. Autorzy krwawych rymów, jezechjele i jeremjasze kapitalizmu, masturbanci zachłystujący się wizją października pełne temperamentu panienczki opisujące swą miłość do proletariatu, zdrowe a leniwe chłopcy, którym

się nie chce pracować, więc chwytają za pióro - nie są ani poetami, ani rewolucjonistami. Są gromadą pseudoproletariackich grafomanów, kupą zgonin na podwórku zdychającego porządku.

MARXOWSKA KRYTYKA

Pisząc ten artykuł byłem zgóry przygotowany na porcję wymysłów i obelg, niemniejszą niż po „Smutnych porachunkach”. Gdyby jednak stał się cud i ktoś z jednolitego frontu chciał odpowiedzieć rzeczowo i spokojnie, może m. in. Wyjaśni przede wszystkim pewne wątpliwości, które mi się nasunęły przy lekturze „Kultury Mas”, pisma polityczno-literackiego, wydawanego w języku polskim przez „Trybunę Radziecką” w Moskwie.

Leży przede mną dziewięćdziesięciostronicowy zeszyt w czerwonej okładce, zadrukowany dość gęsto artykułami, wierszami, sprawozdaniami. Nakład - dwa tysiące. Numer podwójny, styczeń-kwiecień 1935 rok. Zatem czasopismo poważne, o charakterze zapewne teoretycznym, może coś w rodzaju polskiej „Drogi”; w każdym razie autorytatywne źródło, z którego będziemy się uczyli, jak powinna wyglądać kultura mas.

Sam pisuję wiersze, ta więc dziedzina interesuje mnie przede wszystkim. Przekłady: Białorusin Janko Kupała, nieśmiertelny Władimir Wielikanowicz. Oryginalne - bardzo słabe. Coś w tym rodzaju:

Moskwo nasza, ech, Moskwo! Wspaniale!

Lenin żyje w sercach bojowej

bolszewickiej partji spizowej,

partji, którą prowadzi nasz Stalin!

A przy każdym prawie wierszu uwagi redakcji, zastrzeżenia że to niby twórczość nie całkiem prawowierna. Więc przy, mocno Bagrickim zalatującej próbie epickiej: „Nie zgadzamy się z apologią buntarstwa, którego wyraz daje tow. Porajewicz w „Bondarywnie”. Przy wierszu Stanisława Wygodzkiego żadnego komentarza; okazuje się jednak, że radość przedwczesna. Kartka z erratą, a na niej: „Na str. 45 nie została zamieszczona następująca uwaga redakcji do wiersza Stanisława Wygodzkiego: „Jest to młody poeta proletariacki w Polsce, który w przytoczonym wierszu wypowiada swoje wrażenia w związku z dekretem o wprowadzeniu sądów doraźnych w Polsce. I w danym wypadku ujawnia się charakterystyczny dla twórczości poety nastrój pesymizmu, obcy proletariackiej poezji rewolucyjnej”.

Dużo kłopotu macie z wierszami, towarzyszu redaktorze Kowalczyk. Prawowiernej poezji mało - jeden Standa, a drukować trzeba. Więc zastrzeżenia, uwagi, poproście wiersze na prawach artykułu dyskusyjnego!

Patrzmy dalej. Reportaż - „Przeklęty port”. O Gdyni. Zaczyna się od stwierdzenia, że w Gdyni jest „Dziesięć kościołów i katedra”, pomodlić się lubię na intencję zguby komunizmu. Niema. Jeden... dwa... trzy... są. A reszty niema. Katedry także. Mają budować, biskup Okoniewski prosił, żeby te 80 tysięcy, które zebrano na pomnik Niepodległości, przekazać komitetowi budowy ale Żydzi uparli się i nie pozwalają. Że to ich pieniędzy sporo w tych ośmiu setkach. Więzienie też

chciałbym zobaczyć. Niema. Powiadają - w Wejherowie. A do Wejherowa daleko. Z Gdyni nie widać. Z Moskwy także nie widać. Jakże czytelnik „Kultury Mas” sprawdzi - czy redaktorzy prawdę piszą. Musi wierzyć biedak. Albowiem „prawdziwa cnota prawdy się nie boi”.

Na str. 50 tow. Wiślak „ostatecznie zdemaskowanego trockistę Kamieńskiego”. Ot, i niepotrzebnie Irzykowski przestraszył się w swoim czasie groźnego odbronzowiacza polskiej literatury burżuazyjnej. Zdemaskowany. Nareszcie. Ale nie martwcie się towarzysze. Za kilka lat, a może tylko miesięcy, to samo przeczytamy o Wiślaku. Powolutku do każdego dojdzie. Po oczeredii, gaspada!

Nieco dalej tow. Budzińska zdaje sprawę z kwitnącego stanu polskiego dramatopisarstwa o Sowietach. Czytajmy arcydzieło Stankiewicza „Sen wielkanocny” (...)

Budzińska krytykuje tę barbarzyńską brechtę, ale nie ze względu na jej beznadziejny poziom. Chodzi jedynie o to, że wprawdzie sztuka ta „może wywoła śmiech na widowni, składającej się z młodzieży, bardziej uświadomionych robotników, aktywistów wiejskich i t. d. Ale najmniej uświadomione elementy, które zachowały jeszcze wiarę w boga, przyjmą tę sztukę wręcz odwrotnie niż myśli autor.” Budzińska nie tylko krytykuje, ale również wskazuje powody tego niskiego poziomu sztuki scenicznej. Mianowicie jest to skutek „szkodniczej roboty agentury faszystów na polskim odcinku kulturalnym”. Jednakże - potężny jest Bóg faszystów, budzi żywą troskę redaktorów czasopisma. Że dostają po rękach Bąk, Tuwim i Krzywicka - to rzecz aż nadto zrozumiała. Bardziej nas ciekawi opinia o swoich, o lewicowych. Więc „Pawie pióra” Leona Kruczkowskiego. Chwała. Dobrze pokazał „klasowe rozwarstwienie wsi polskiej”, za co krytyka burżuazyjna przyjęła jego powieść z wyraźną niechęcią.

Ale są na tem słońcu i poważne plamy. Najważniejsza: „Kruczkowski ani słowem nie wspomina, że galicyjski ruch strzelecki był narzędziem w rękach imperializmu habsburskiego... u Kruczkowskiego sprawa wygląda tak, jakby „strzelcy” byli jakąś organizacją powstańczą, występującym przeciw wszystkim rządów zaborczym. Jest to, rzecz prosta, rażące wypaczenie rzeczywistości.” Dość obszernym sprawozdaniem zaszczycone zostało „Oblicze dnia” Wasilewskiej, od paru lat czołowej polskiej Kassandry rewolucji. Powieść Wasilewskiej jest „dokumentem... straszliwej nędzy... świadczącym o radykalizowaniu się mas pracujących...” Ale mimo to „maskujący się reformizm... może ją wykorzystać”, ponieważ „Wasilewska ani słowem nie krytykuje P.P.S., przemilczając zaś jednocześnie jedyną organizację rewolucyjną - K.P.P., przemilczając wpływ Z.S.R.R., przez to samo ułatwia reformistom i faszystom podszywanie się pod robotnicze dążenia rewolucyjne, czyli pomaga przechwytywać rewolucyjne nastroje mas.

Skorośmy już zdemaskowali agentkę faszystów na terenie literatury, zobaczmy co słychać u malarzy. Bardzo źle, towarzysze! (...)